

# Szybowicz Bezpośrednio



Eliza Szybowicz

KRYTYCZKA LITERACKA

## Elita patrzy na brutalnych wieśniaków

**M**am problem. Wątpię w sens humanistycznie słusznym przedstawień teatralnych. Choć krytykuję niesłuszne. Weźmy „Sceny myśliwskie z Dolnej Bawarii”, pierwszą premierę sezonu w Teatrze Polskim. Mamy wiejską wspólnotę zawiązującą się przez odrzucenie odmieńców. Głupi, brutalni ludzie. Zacięte lub skrzywione w złym uśmiechu twarze. Jeśli cierpienie, to nienawistne. Brak wykształcenia, pracy, prestiżu. Religijność. Mają tylko swoją tępą normę, która pozwala przez chwilę poczuć się lepszym od „nienormalnego” sąsiada. Zaczyna się od insynuacji i plotek, które szybko przechodzą w eskalującą przemoc. Najpierw słowną („pedał, dziwka, debil”), potem jak najbardziej realną, do finałowego polowania z bronią w ręku włącznie.

Czy ktoś zobaczył tu coś, czego by nie wiedział? Przeżył zaskoczenie? Coś sobie przewartościował? Teatralna publiczność raczej nie identyfikuje się z nienawistną społecznością przedstawioną na scenie, żeby się miała przeżyć w artystycznym zwierciadle prawdy, zrozumieć, że postępuje źle i dlaczego. Widz przychodzi na tego typu przedstawienia nawet nie po to, by rozpoznać siebie w postaciach piętnowanych i represjonowanych odmieńców, a jedynie po to, by się utwierdzić w swojej świadomości mechanizmów wykluczenia i wrzucić losem ofiar.

„Sceny myśliwskie” zawierają sporo dość dosłownie pokazanej przemocy - agresywnych krzyków, rzucania przedmiotami, fizycznej szarpaniny, gwałtów seksualnych, ciosów. W pewnym momencie bohaterowie wyrabiają wędliny, siedząc w pierwszym rzędzie, można zostać zbryzganym krwią (wiem, co mówię). Na końcu na scenie leżą trzy trupy. Przedstawienia, które poprzestają na sugestii i umowności przemocy, zazwyczaj mnie tym pominięciem - dbałością, by nie epatować mieszcza - drażnią. Tak to już jednak jest z przemocą, że również jej bezpośrednie przedstawienie bywa śliskie, jeśli ma sprawić publiczności osobiwą przyjemność. Och, straszna ta przemoc, straszna ta społeczność, ten człowiek, który się do niej uciekają! Ja bym tego nigdy nie zrobił (a)! Nie mam z tym nic wspólnego!

Obawiam się, że to właśnie przypadek „Scen myśliwskich” w Polskim. Kontrast między elegancją widzów i zgrzebnymi kostiumami aktorów jest znaczący. Scena staje się ekranem, na którym wyświetla się fantazja o prostych ludziach. Najlepiej jak najbardziej odległych. Dlatego Pasikowski w „Pokłosiu” przeniósł Jedwabne z miasteczka na wieś. Tutaj rzutujemy przemoc jeszcze dalej - na wieśniaka bawarskiego.

W „Scenach myśliwskich” wyraźnie nie chodzi o bohaterów. Naszkicowani są mniej niż pobieżnie, sprowadzeni do jednej, dwóch cech. Jeśli nie zajmują się przemocą, stoją pod ścianą niczym chwilowo niepotrzebne kukielki. Kiedy „ożywają”, by wziąć udział w scenie, przez większość czasu są zwróceniem frontem do widza, nie do siebie nawzajem, jakby mówili: „Zobaczcie, jacy jesteśmy głupi i okrutni. Nie mamy głębi, żadnych tajemnic. Żadnych marzeń. Jesteśmy tu po to, by ilustrować mechanizm”.

Wszystko, w tym dekoracje, jest zredukowane, umowne, ale jednoznacznie wiejskie. A przecież można sobie wyobrazić pustą scenę i aktorów w trykotach - maksymalne ograniczenie znaków, by powstały uniwersalne „Sceny myśliwskie z ludzkiego świata”. Albo nowoczesny design i markowe ciuchy w „Scenach myśliwskich ze strzeżonego osiedla”. Teatralną publiczność trudno wybić z samozadowolenia. Ale wszystko lepsze niż „wiejska przemoc”! ◉